

Dariusz Liszewski

Wylewanie dziecka z kąpielą

Humanistyka i Przyrodoznawstwo 6, 235-239

2000

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

WYLEWANIE DZIECKA Z KĄPIELĄ

Przemysław Mastalerz:
Ekologiczne kłamstwa ekowojowników.
Rzecz o szkodliwości propagandy ekologicznej,
Wyd. Chemiczne, Wrocław 2000.

Przystępując do omawiania książki prof. dr hab. Przemysława Mastalerza, miałem niebłahy dylemat, czy w ogóle jest sens popularyzować tego typu pozycję. Przecież każda recenzja – nawet nieprzychylna – wzmianka choćby jest jakąś tam popularyzacją, zachętą do lektury. Gdyby nazwisko autora nie było poprzedzone tytułami naukowymi, nie miałbym żadnych wątpliwości – takie prace nie zasługują na recenzję w poważnym czasopiśmie. Dlaczego taka ostra ocena już na wstępie? Ano dlatego, że dawno już nie czytałem tak nieobiektywnej, ideologicznie zacierzwionej i zwyczajnie nierzetelnej książki, mającej w zamierzeniu autora i wydawcy naukowe ambicje.

Cel jej przyświecający był jakże szlachetny: „krytyka antynaukowej, kłamliwej propagandy ekologicznej, która, wzbudzając strach przed skutkami postępu naukowego i technicznego, zagraża światu bardziej niż problemy ekologiczne, przed którymi nas ostrzega” oraz „pomoc w odróżnieniu naukowej prawdy od nieprawdy”.

Książka w założeniu „omawiając przykłady tej [ekologicznej – D.L.] propagandy”, czyli „ekologiczne kłamstwa ekowojowników”, tłumaczy, jak bardzo fałszywy bywa obraz zagrożeń, którymi nieustannie straszą nas prasa, radio i telewizja. Ponadto dostarcza „obiektywnych i wiarygodnych odpowiedzi na niepokojące nas wszystkich pytania, np.:

- czy należy bać się dziury ozonowej,
- czy zatrują nas tworzywa sztuczne,
- czy szkodzi nam żywność »naszpikowana chemią«,
- czy spalanie śmieci zagraża naszemu zdrowiu,
- skąd wziął się problem efektu cieplarnianego i czy grozi nam ocieplenie klimatu”.

I rzeczywiście, na przeszło 230 stronach autor, z godną Torquemady zawziętością, tropi i rozprawia się z ekologicznymi „herezjami”, które szerzą „ekowojownicy”. Kim są owi „ekowojownicy” w odróżnieniu od prawdziwych miłośników

przyrody, których autor, jak zapewnia, darzy szacunkiem? Są to „członkowie radykalnych organizacji, którzy w swojej działalności korzystając ze środków nielegalnych lub nieetycznych, nie wahają się używać przemocy maskowanej hasłem »obywatelskiego nieposłuszeństwa« i swobodnie posługują się kłamstwami przy próbach przekonywania ludzi do swoich poglądów” (s. 13). Przykładów takich organizacji autor nie potrafi podać, nazwisk „ekowojowników” również, za to przytacza (bez najmniejszych szczegółów czy przypisów dotyczących np. wyników śledztwa) złowrogi przykład ich działalności w postaci podpalenia ośrodka narciarskiego w Górach Skalistych w USA, który miał zagrażać siedlisku rysi (s. 13). Jest to jeden z wielu grających na emocjach czytelników chwytów retorycznych, który ma *a priori* zdyskredytować przeciwnika. Książka aż się roi od tego rodzaju sugestii. Na tym chyba właśnie polega obiektywność według jej autora.

W praktyce, jak to wynika z krytykowanych w książce źródeł, ekowojownikiem dla autora może być każdy, kto ma odmienne niż on sam poglądy: dziennikarz, polityk, naukowiec, urzędnik państwowy. Wynika z tego, że czasopismo, ministerstwo, ONZ czy międzynarodowa komisja to radykalne, nieetyczne organizacje używające przemocy. Ale najgorsi są koledzy po fachu np. redaktorzy „Wiadomości Chemicznych”.

Mam brzydki zwyczaj przeglądania bibliografii, zanim przystąpię do szczegółowej lektury. I tym razem się nie zawiodłem. Piśmiennictwo, do którego odwołuje się autor, jest dość mało reprezentatywne, na próżno szukać tam tak zdawałoby się podstawowych dla tematu pracy tytułów, jak: „The Ecologist”, „Resurgence”, „Sierra Magazine”, „Earth First Journal” czy polskie „Dzikie Życie”, „Zielone Brygady”. Za to najczęściej cytowane są popularne czasopisma „Wprost”, „Rzeczpospolita” czy „Polityka”. Nie sądzę, aby redagowali je ekologiczni ekstremiści. Wniosek nasuwa się prosty, autor nie zna podstawowej literatury.

Nie bądźmy drobiazgowi i przejdźmy do konkretnych „kłamstw”, którymi – zdaniem autora – raczą nas „ekowojownicy”. Zajmę się tylko kilkoma najdrastyczniejszymi przykładami, bo aby omówić więcej, musiałbym chyba napisać recenzję objętości omawianej książki. Zaręczam jednak, że zdecydowana większość „dowodów” jest skonstruowana w podobnym stylu i duchu.

Cytat: „Obrońcy środowiska muszą wiedzieć, że nie ma na świecie takiej trucizny, która pod działaniem bakterii nie ulegałaby degradacji do nieszkodliwych produktów. Innym czynnikiem degradującym zanieczyszczenia jest światło słoneczne” (s. 18). W perspektywie wieczności (rozumianej eschatologicznie) autor ma niewątpliwie rację, ale żyjemy tu i teraz, a sporo toksyn ma tak długi czas rozpadu, że stanowią śmiertelne niebezpieczeństwo przez dziesiątki, jeśli nie setki lat. Przykładem Zatoka Minamata, skażona związkami rtęci¹ (do dziś nie wolno tam

¹ W 1959 r. sprawa wieloletniego zatrucia zatoki metylenem rtęci wyszła na jaw. Skutki: 70 ofiar śmiertelnych, tysiące osób ciężko zatrutych, upośledzone dzieci, miejscowa gospodarka oparta na rybołówstwie zrujnowana itd.

dokonywać żadnych połowów), albo skażone i – po długiej walce poszkodowanych mieszkańców – w końcu zlikwidowane osiedle Love Canal w północnej części stanu New York, zbudowane na miejscu dawnego składowiska odpadów chemicznych.

O ile wiem, odpadów radioaktywnych nie mają się bakterie ani światło słoneczne, ale i na to autor ma sposób. W rozdziale dotyczącym tych zagadnień winą za strach przed promieniowaniem beztrósco obarcza zbyt wyśrubowane normy bezpieczeństwa. Czyli wszystkiemu winni są skorumpowani politycznie naukowcy, np. Andriej Sacharow i niedouczeni urzędnicy. Zdaniem autora katastrofa w Czernobylu nie była aż taka groźna, skażenia wyolbrzymiono, a tysiące jej ofiar to tylko plotki.

Cytat: „Nie obserwuje się obecnie żadnego bezprecedensowego wymierania gatunków” (s. 19). Według autora wszelkie raporty na ten temat są przesadzone bądź błędne, bo opierają się na fałszywych założeniach. No cóż, oznacza to, że np. wybitny biolog, profesor Harvardu Edward O. Wilson, który poświęcił sporą książkę² (której oczywiście nasz autor nie raczył przeczytać) zjawisku zanikania gatunków jest oszołomianym ekowojownikiem, który bredzi twierdząc, że mamy obecnie do czynienia z bezprecedensowym nasileniem wymierania gatunków, ok. 10 tys. razy szybszym niż w znanych nam okresach wymierań w przeszłości. Nasz autor, podkreślam, jest emerytowanym profesorem chemikiem, ale jak widać na biologii zna się lepiej niż sami biologowie.

Cytat: „Na szczęście dla nas głosiciele przerażających prorocत्व klimatycznych [chodzi o efekt cieplarniany – D.L.] pozostają w sprzeczności ze zdrowym rozsądkiem i zupełnie rozmiągają się z opiniami rzetelnych klimatologów” (s. 181). Jak można się domyślić, zagrożenie efektem cieplarnianym, którym zajmują się agendy i konferencje ONZ – kolejne wyśledzone przez autora siedlisko niecnym ekowojowników – jest również nie uzasadnionym czarnowidztwem. Na poparcie swoich tez autor przytacza kilka oświadczeń i deklaracji. Jeden dokument zasługuje na szczególną uwagę, jest to tzw. Deklaracja Lipska, podpisana i ogłoszona przez grupę ok. 100 meteorologów i klimatologów w listopadzie 1995 r. A zasługuje na uwagę dlatego, że jest przykładem spektakularnego oszustwa, zdemaskowanego przez szwedzkich dziennikarzy. Usiłowali oni dotrzeć do sygnatariuszy owej deklaracji, i cóż się okazało? Spośród 100 sygnatariuszy 20 w ogóle nie istniało, pozostali byli przedstawicielami bardzo różnych specjalności naukowych, często nie mających nic wspólnego z klimatologią (np. chirurg, dentysta, mikrobiolog, inż. budownictwa). Jeden z rzekomych naukowców meteorologów, Roy Leep, był np. zapowiadaczem pogody w podrzędnej stacji telewizyjnej – tyle miał z klimatem wspólnego. Niektórzy z sygnatariuszy byli zaniepokojeni zmianami klimatycznymi i przekonani, że podpisywali apel ostrzegający ludzkość przed skutkami efektu cieplarnianego. Duszą tego niecnego przedsięwzięcia był niejaki Fred Singer i jego

² E.O. WILSON, *Różnorodność życia*, Biblioteka Myśli Współczesnej, PIW, Warszawa 1999.

pseudonaukowa fundacja firmująca całe oszustwo, powiązana z dyspozycyjnymi naukowcami, których badania od lat sponsorują korporacje ciągnące ogromne zyski z energetyki paliw kopalnych – do tego też udało się dotrzeć wrocławskim dziennikarzem-ekowojownikom. Jeżeli podobną wiarygodność mają i inne źródła, na które powołuje się autor, to zaiste mamy do czynienia z „obiektywnością” najwyższej próby.

Napastliwy styl i emocjonalnie nacechowane słownictwo nie pozostawiają złudzeń co do bezstronności i rzetelności autora. Wszelkie wątpliwości dotyczące m.in. elektrowni atomowych, odpadów radioaktywnych, DDT, metali ciężkich, szkodliwego wpływu promieniowania elektromagnetycznego to według niego historia i bezwzględne straszenie lub oszukiwanie społeczeństwa. Oczywiście inspirowane politycznie, przez kogo – bliżej nie wiadomo, złowrogi epitet „polityczny” ma przemawiać sam za siebie. Nieco światła na polityczne antypatie autora rzuca rozdział „Lewicowe motywy w propagandzie ekopolitycznej” czy wtrącone „niewinne” uwagi w stylu: „Dawka śmiertelna [dioksyny – D.L.] dla ludzi nie jest znana, ponieważ nie jest znany ani jeden przypadek śmierci człowieka spowodowanej działaniem dioksyn. Zginął wprawdzie jeden dyrektor fabryki we Włoszech, w której miała miejsce duża emisja dioksyny do środowiska z powodu wybuchu reaktora, ale przyczyną nie było zatrucie dioksyną, lecz morderczy zamach dokonany przez działające wtedy tak zwane Czerwone Brygady” (s. 141). „Przewodnym motywem konferencji w Rio nie była ochrona środowiska, a walka z niesprawiedliwością społeczną na świecie, pojmowaną według najlepszych tradycji komunistycznych” (s. 47). Ciekawe co na takie *dictum* powiedziałby przedstawiciel Polski na tej konferencji, ówczesny minister ochrony środowiska prof. Kozłowski – dawny opozycjonista, znany z antykomunistycznych poglądów.

Podobne fobie wyzierają z każdego prawie podrozdziału. Jeżeli autorowi rzeczywiście zależało na wniesieniu do debat ekologicznych nieco rzetelności i rozsądku, to uczynił najgorszą rzecz z możliwych – wylał dziecko z kąpielą. Owszem wielu działaczy ekologicznych jest w gorącej wodzie kąpanych, skłonnych do przesady. Często wykazują się oni żenującym brakiem wykształcenia, ale uzdrowienie tej sytuacji na pewno nie polega na popełnianiu takich samych błędów przez ich krytyków. A to niestety stało się udziałem Przemysława Mastalerza. W rezultacie książka zamiast rzeczowej i stonowanej krytyki stała się płomiennym wyznaniem wiary autora, który jawi się bezkrytycznym – żeby nie powiedzieć naiwnym – piewą postępu i dokonań nauki w dawno już przebrzmiałej pozytywistycznej wersji, właściwej czasom Comte’a czy Spencera, ale już nie do przyjęcia u progu XXI wieku. Dość mieliśmy w minionym półwieczu przykładów, kiedy to tzw. postęp naukowo-techniczny zwiódł nas na manowce, na szczęście zaczynamy się uczyć na błędach. Ponadto liczne potknięcia merytoryczne i metodologiczne dają asumpt do uzasadnionej krytyki, której na pewno nie podarują sobie, tak nie lubiani przez autora, ekowojownicy.

Przemysław Mastalerz na wstępie podkreśla, że jego książka, mimo że jest „ostrą krytyką ekologicznej propagandy, nie jest bynajmniej wystąpieniem przeciwko ochronie przyrody”. Wydaje mi się, że wbrew intencjom tak pomyślana i napisana książka sprawie ochrony przyrody nie służy. Wręcz przeciwnie, utrudnia porozumienie działaczy ekologicznych ze światem nauki, mnoży animozje i nieporozumienia. Przyroda i ludzie na pewno na tym nie zyskają.

Dariusz Liszewski